



WIECZORY RODZINNE

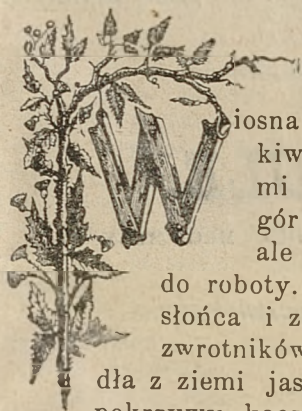


Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Edmund Jankowski.

ZBLIZKA.



Wiosna przyszła! Przyszła długo oczekiwana, powstrzymywana chłodami i wichrami z północy lub z gór wysokich. Spóźniła się znowu, ale teraz zabiera się energicznie

do roboty. Przy współudziale ciepłego słońca i zefirów, które gdzieś aż z pod zwrotników na pomoc jej płyną, wywiodła z ziemi jaskółcze ziele i fioletki i głuche pokrzywy, kaczyńce, kluczyki i leśne zawilce.

Kępkami wyrosły z wilgotnej ziemi pierwsze szmaragdowe trawki, zrazu tu i owdzie tylko, potem coraz gęściej, aż nareszcie zwały się w gęste, jednostajne kobierce. Żółte wierzby rozplotły długie, a cienkie swe warkocze, klony pozłociły się buketami gęstych kwiatów, na jesionach ukazały się brązowo-szaro-zielonawe delikatne szczoteczki, a kasztany przybrały się w tysiączne świeczki, niby na lichtarzach fantastycznych, osadzone na wygiętych ku dołowi liściach.

Gdzie spojrzeć, prawdziwe święto! Jeszcze parki i ogrody przeświecają nawskroś, lecz zimowe ich, suche zarysy opięły się teraz niby siecią delikatną, przedziwnie zieloną, a w zieleni swej tak czystą jakos i wykwintną, tak oku miłą, że wzrok po niej buja z lubością.

Nietylko człowiek raduje się majowi, nietylko on wypowiada swe wiosenne zachwyty. Skrzydlate wojsko niezliczonych śpiewaków bożych swojskich i zdala przybyłych, napełniło swym niezrównanym chórem zarośla i gaje, sady i lasy. Na kilka dni przed Św. Wojciechem pałaczkę dyrektorską nad tą orkie-

strą objął niepozorny, szary słowik. On jej poddaje najpiękniejsze tony, on tysiączne mieszane głosy harmonizuje, on na tle ogólnej symfonii wyrzuca ze swej małej piersi te przedziwne trele, które przykuwają słuch człowieka. A w ciszy nocnej, gdy umilkną zmęczeni śpiewacy, jego tu cudny głos solowy rozlega się w przestrzeni i kaskadami tonów nieci w piersiach poetów nowe zapala, kołysze do snu znużone głowy synów ziemi.

Jednocześnie ożyły lasy i pola, — jedno wzmożonym ruchem dzikiego zwierza, drugie pracą rolnika. Wody pełne sobie właściwej roślinności, to śpieszą w objęcia rzek, to parują w słońcu, nadając powietrzu w grubej warstwie widzianemu, szczególny ruch migawkowy. Pług kraje skiby wypoczętej i kruchej ziemi, jak matka dla dzieci kromki chleba. Gdy brony skibę rozkruszą, gdy z ziemią pomieszą posiane ziarno, wyrośnie z niego chleb nowy dla ludzi i pożywienie dla mnogich zwierząt.

Dzięki temu prostemu a cudownemu urządzeniu niezliczone stworzenia będą mogły żyć dalej i trwać swoje innym, młodszym przekazywać.

Pracowita wiosna nie zapomniała też i o sadach. Z szarych lub brunatnych obłonek wychyliły się już jasne pąki kwiatów. Jeszcze nie wydobyły się całkiem, jeszcze lękają się chłodu i siedzą przytulone do siebie, jak gdyby gotowe schować się znowu pod ciepłe okrycia. Niestety, jużby im się to nie udało. Gołym okiem widzimy te małeńkie twory, które wkrótce mają się rozwinąć w piękne kwiaty i przyozdobić wiosnę w jej szatę najpiękniejszą, najbogatszą, choć nietrwałą. Bo gdy ona opadnie — zginie i wiosna sama, ustępując miejsca znojnemu latu tak, jak ustępuje niefrasobliwa młodość przed pracowitym wiekiem dojrzałym, pełnym trudów i walk o chleb, o stanowisko, o sławę.

Zanim to nastąpi, uzbrojmy się w szkło powiększające, zwane lupą i przyjrzyjmy się z bliska tym pąkom, chociażby tylko na drzewach owocowych i ozdobnych, które mamy tuż pod bokiem.

Przez chwilę nie widzimy nic prawie, ale ustawiwszy w dobrym miejscu soczewkę, zwykle dość blisko oka, zaczynamy widzieć okazy całkiem nieznanne. Oto pąk kwiatowy czereśni wygląda jak gło-wa palmy z wielkimi rdzawo-zielonemi liśćmi, na-zewnątrz zbrojna w lśniące łuski, wewnątrz zaś dzwi-gająca kilka grubych, brązowych buław. Łuski okry-te są niby maścią lepką, gęstą, która służyła do szczelnego zamknięcia pączka, zanim on się rozwinął i nie dopuszczała doń wody, ani powietrza. Listeczki całe pokryte są włoskami, tworzącemi delikatanne fu-terko. Otulały one od mrozu część najistotniejszą, właśnie owe w środku stojące buławy — właściwe pąki kwiatowe. Działki kielicha brunatne, stanowią ostatnią już osłonę; gdy i one pod wpływem wzmo-żonego ciepła, wilgoci i innych sił niezbadanych, rozchylą się — ukaże się wreszcie śnieżno-biały kwiat czereśni.

Przejdźmy teraz do kwiatów gruszy, a zobaczy-my, że oprócz lepkich łusk mają one liczne wąskie, po-skręcane grajcarkowato listeczki, pomiędzy którymi siedzą ukryte blado-różowe pąki kwiatków. W jabło-ni cała pąkówka okryta jest bogatą, srebrzystą pil-śnią, jakby puszystem, ciepłym futrem, a kwiateczki wpośród tej szuby siedzą różowe lub czerwone. Gdy się rozwiną, będą białe, bo taka jest barwa górnej strony płatków.

I tak kolejno z podziwem będziemy poznawali blado-zielonawe kwiatki śliw, różowo-białe morel i skromne kwiatuszki ko dołowi zwieszane porzeczek. Każdy, który nam w rękę wpadnie, widziany zblizka, okazuje się cudem budowy prostej, a pięknej i do ce-lu doskonale przystosowanej.

Mnóstwo też rzeczy, które ludzie robią, podpa-trzyli u drobnych roślin. Całe niegdyś zdobnictwo w świecie roślinnym czerpie natchnienie do swych arabesek, kwiatonów i wieńców, do swych kapiteli, rozet, wiązań i zwieńczeń. Poczynając od niewy-myślnego rysunku, którym wiejska dziewczyna zdobi farbą okienice lub ściany chaty, by wiadomo było, że jest na wydaniu — a kończąc na słynnych ozdo-bach z kwiatów i owoców Rafaela w Watykanie — wzorem wszystkich były listki i kwiatki, które Bóg stworzył. On też przyozdobił lilie polne, on zbudo-wał przedziwne sklepienie lniarki i gardziel napar-stnicy i niezmiernie misterne kwiaty storczyków.

A pod lupą naszą wszystkie te drobiazgi, z któ-rych się składa harmonijna całość, ukazują się zdu-mionemu oku. Tem się bowiem różnią dzieła Boże od dzieł ręki ludzkiej, że pierwsze są doskonale nie-tylko w całości, ale w najdrobniejszych nawet jej częściach, gdy drugie *widziane zblizka* okazują się gru-bą, niedołęzną, często niedbałą robotą.

Skoro badacze przy pomocy drobnowidzów jeli rozpatrywać budowę tworów, o ile to jest możliwem przy niedoskonałości, a raczej ograniczoności nasze-go wzroku, wtedy jeden z nich w uniesieniu, zapra-wdę słusznie, zawołał:

„*Natura in minimis maxime miranda est*” (Przyro-

da w rzeczach najdrobniejszych, najwięcej jest godną podziwu).

Ja też was, jak zawsze, mili czytelnicy, zachę-cam usilnie — poznawajcie przyrodę zblizka, a przez nią i w niej nauczycie się chwalić jej Wszechmocne-go Stworzyciela. Nieraz i stosunki z ludźmi i mądre nawet książki i przygody życiowe — napelnia was go-ryczą. Wtedy uciekajcie za miasto, przyglądajcie się lasom i polom, poznawajcie zioła i drzewa, kwiaty i owoce, badajcie je i w samotności dumajcie nad tem, co ujrzycie.

Takie rozmyślanie czynią człowieka lepszym, mędrszym, dla innych wyrozumialszym i zbliżają go do wielkiego celu, dla którego jest stworzony.

Poznawanie przyrody osładza życie.

Zbliżają się wakacje. Oprócz zabaw różnych, dla zdrowia ciała potrzebnych, nastroczają one zna-komitą sposobność kształcenia duszy przez poznawa-nie tworów Bożych, przez wnikanie w siebie same-go. Prowadzi ono do porównań i zestawień, a w dal-szym ich ciągu do wykreślenia sobie tego skromnego znaczenia, jakie w samej rzeczy ma jednostka ludzka, choćby nawet wybitna, we wszechświecie.

Przechodzi ona jak drobny obłok pary, a ślad zostawia tylko wtedy, gdy na ziemię spływa deszczem dobrych uczynków, zacnych myśli lub prac dla innych pożytecznych.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Jakże to dobrze powiedziałeś, że tam na Kuja-wach „dierzysz krainę.” Stąd może i to imię Dzier-żykraj, z którego zrobiono „Dzierżek” — zaśmiała się starościna.

— Inaczej to tam pono z dzierżykrajami bywa-ło — wtrącił starosta — wiem ci ja, bom w świecie bywały, że ano owa „kraina” Dierzkowa ma nazwę Morawy i przezwisko naszego gościa właściwie: Dierżek z Moraw się nosi.

— Tak to i jest — zawtórzyl gość, ale w tej chwili urwał, bo do izby weszła z rozpuszczoną kosą Brysia, i Dierżek wlepiwszy wzrok w białogłową, stanął nieśmiały.

— Już odjeżdżacie? — zapytała Brysia. — A nam tak miło byłoby pogwarzyć dłużej.

Dierżek skłonił się wdzięcznie.

— Radbym i ja posiedzieć trochę, aliści przy-kazanie wojewody Sieciecha spełnić muszę.

Nastąpiła cisza, bardzo przykra dla wszystkich. Przerwał ją starosta:

— Odprowadzę naszego gościa miłego, pacholik niechaj weźmie konie w opiekę swoją, a my pieszo pójdziemy do Judy. Może jeszcze po drodze znajdziemy radę jakąś, ażeby i wojewoda nie był krzy-wy na Dierżka i ażeby niewinny Natan nie ucier-piał.

Jak przystało na rycerza z dobrego rodu, Dzierżek korny pocałunek złożył na rękę starościny, wdzięcznie skłonił się pannie Brygidzie, a na pożegnanie usłyszał zaproszenie, ażeby nie zapomniał o Gostyniu i gdy się nadarzy sposobność, zajrzał znów do tego domu, gdzie gościnnego i serdecznego pewnym być może przyjęcia.

— Byle tylko w lepszych zamiarach — dodała starościna.

Dzierżkiem dziwne miotają uczucia, gdy wyszedł poza próg tego domostwa i znalazł się na dziedzińcu. Z jednej strony ukazywała mu się groźna postać wojewody, który odstąpienia od rozkazu nie przebaczyłby nigdy; z drugiej strony stała mu przed oczami nadobna starościanka, która wzrokiem zdawała się błagać, ażeby nie wyrządzano krzywdy lubionemu ogólnie Natanowi. Jeżeli usłucha głosu obowiązku, to wywoła smutek u panny Brygidy, a Dzierżek, sam nie wiedząc dla czego, nie chciałby widzieć łzy w oku starościanki. Rzuciła ona jakiś czar na niego, przylgnął sercem, zachwycił się jej wdziękiem, łagodnością i serdecznością a prostotą obejścia.

Młody wysłannik Sieciecha westchnął smutnie i w milczeniu szedł ku oddziałowi swojemu, za nim zaś postępował starosta, baczący uważnie na zachowanie się Dzierżka.

— Więc jednak postanowienie wasze jest niezłomne? — zagadnął wreszcie starosta, widząc, że Dzierżek nakazał ludziom swoim wskoczyć na konie i ruszyć ku domowi Judy.

— Wolę pana spełnić trzeba, sami to wiecie chyba najlepiej — odparł.

— Juścić to prawda — zauważył starosta — aliści niema takiego położenia, z któregooby wybrnąć się nie dało, zawsze potrzeba myśleć o tem, ażeby i wilk był syty i owca cała.

— Niestety! żadnej nie widzę rady — bąknął, zmięklszy już nieco Dzierżek, w tej chwili bowiem ujrzał znów Brydżę, której wiotka postać błysnęła w oknie narożnym domu starościńskiego.

— A ja widzę radę — tryumfująco podchwycił starosta.

— Dajcież ją na Boga! — zawołał Dzierżek. — Toć przecież nie jestem ani rozbójnikiem, ani żadnym dzikim, krwiożerczym człowiekiem, nie chciałbym też, ażeby po moim tu pobycie szpetne u was pozostało wspomnienie.

— Chodźmy przodem, oddział wasz niechaj się jeszcze trochę zatrzyma i dopiero po kilku pacierzach wyruszy za nami.

Starosta położył rękę prawą na ramieniu Dzierżka, co było oznaką wielkiej łaskawości i krocząc wolno, przemówił:

— O tem, ażeby ci się powiodło ująć Natana, a dom jego zburzyć, lepiej nie myśl nawet, mój młodzieńcze. Cała osada wie już, w jakim przybył celu, i cała osada, jak jeden mąż, ba, cała nawet okolica ściągnęłaby pod Świętą Górę, zasłaniając pierściami swemi Jude.

— Cóż to, czy on święty, lub nietykalny? — z zapaleczywością przerwał Dzierżek.

— Ani on święty, ani nietykalny, ale człowiek dobry, dla wszystkich uczynny i od wszystkich kochany, a wojewoda Sieciech nie cieszy się mirem. Owoż tedy obmyśliłem tak, że i ludu nie oburzysz na siebie, a Sieciech żadnej ci nie przypisze winy i Juda Natan obronną wyjdzie ręką.

— Chyba to niemożliwe — uśmiechnął się Dzierżek.

— Posłuchaj — ciągnął starosta. — Oto rozkwaterujesz oddział swój na dziedzińcu Natana, zamieszkaś sam u niego, albo też, jeżeli nie pogardzisz mojem zaproszeniem, to obierzesz sobie u mnie ko-

mnatę, będziesz pilnował uważnie wszystkiego, co się u Judy przytrafić może i czekać będziesz.

— Nic nie rozumiem, na cóż bowiem miałbym czekać jeszcze?

— Na mój powrót — poważnie odrzekł starosta.

— Alboż wyjeżdżacie?

— Niema innego sposobu. Ciebie i ludzi twoich wprowadzę do domu Judy, Natana oddam ci w ręce, a sam dziś jeszcze, zaraz, natychmiast pojedę do Kruszwicy i przez starego przyjaciela Winęza dotrę do pana naszego Władysława Hermana, przedstawię mu rzecz całą i wymogę inne rozkazy. Zgubiłbym duszę swoją, gdybym pozwolił na krzywdzenie niewinnego. Czas dłużyć ci się nie będzie, żonie i córce polecę, ażeby dbały o wygody i uprzyjemnienie pobytu, sam zaś zawinę się zwawo. Odpowiedzialność na swoją biorę głowę, a bądź pewnym, że zasłonić cię potrafię.

Dzierżek wahał się przez chwilę, ale w końcu przemógł starosta wymową swoją upór młodzieńczy, myśl zaś, że danem mu będzie przepędzać dłuższe chwile w komnacie starościny i przy boku starościanki napawała radością serce Dzierżkowe.

— Ha! słuchać rad starszych, to pono rzecz przyzależna — rzekł i skłonił się staroście. — Jedźcie zatem, a ja rozłożę się obozem u Judy i czekać będę na wasz powrót.

Przed bramą domu Natana aż czarno było od głów ludzkich. Lotem strzały rozbiegła się po Gostyniu i nawet dalszej nieco okolicy nowina, opiewająca, że wojewoda Sieciech nasłał ludzi, ażeby ukarać Judę. Jak zwykle w takich razach nowina podawana z ust do ust, rosła, potężniała, niestworzone też rzeczy opowiadano sobie o okrucieństwach, jakim ma uleść Natan. Że zaś nietylko wśród rycerstwa, ale i wśród ogółu ludności wsi i osad Juda cieszył się miłością, że niejeden wspominał z wdzięcznością czy leki otrzymane od Judy, czy pomoc w zbożu, czy radę w potrzebie: przeto postanowiono nie dopuścić, ażeby ten człowiek, uważany w wielu wypadkach za dobrodzieja dla całej okolicy miał ucierpieć dla zachcianki wielkiego pana.

— Obrońcie go! Nie oddamy w ręce pachołków Sieciechowych! — wołano zewsząd i groźny pomruk pobiegł na wszystkie strony.

Niechajby w tej chwili zjawił się już nie Dzierżek, ale sam wojewoda, to jeszcze nie przemógłby oporu Gostyniaków, którzy utworzyli mur z piersi własnych, ażeby bronić przystępu do siedziby Natana.

A Juda swoiał domowników i w otoczeniu wnuków, przybrany w długą, czarną szatę godową, w milczeniu grobowem czekał na tę straszną chwilę, która miała nadejść. Natan modlił się rzewnie, gorąco, z tą silną wiarą, że jego Bóg, jego Jehowa nie dopuści, ażeby niewinnie cierpieć miał za winy niepopelnione.

W tłumie uczyniło się nagle cicho, spostrzeżono bowiem, że od domu starościńskiego zbliża się orszak jeźdźców.

— Jada! — krzyknął jeden z gromady i dodał: cepy, topory, kłonicie, co kto ma z sobą przygotować, a kiedy zawołam: „Bij!” nie żałować razów.

Orszak jechał i zbliżał się wolno, była nawet chwila, że przystanął i jeźdźcy rozglądać się zaczęli w niezwykłym i zgola nieoczekiwanym widowisku. Była to chwila, gdy starosta, spostrzegłszy tłum, przybliżył się do Dzierżka i rzekł:

— Jeżeli waszmość chcesz unieść całą głowę, to nie posuwaj się ani kroku naprzód. Czy widzisz ten tłum kilkotysięczny? Ci ludzie zrobią wszystko, ażeby Natana obronić i nie wydać w twoje ręce. Jedno niebaczone słowo, jeden ruch może was zgubić.

(d. c. n.)

PRZYJACIEL.

(OBRAZEK WIOSENNY).

Słoneczny dzień, słoneczny dzień
Ze snu obudził pola...
Pachnący wietrzyk pędzi mgły
I leci, gdzie mu wola...

W brylantach drżących, chłodnych ros
Szeroka stoi łąka,
I każda trawka, każdy kwiat
Uśmiecha się do słońca...

Zerwały się bociany z gniazd,
Łopocą w skrzydła duże --
I przez powietrzną płyną tuń
Na błota, na kałuże...

Wyjrzał cicho z za płota
Biedny Janek sierota --
W obcej chacie sen nawet niemiły...
Przez noc długą, noc całą,
Biedne serce płakało,
Bo mu groby rodziców się śniły...

Wzrokiem toczy dokoła:
Wioska taka wesoła --
Wszystko w słońcu się błyszczy, uśmie-
[cha...

Tylko jemu na głowę
Cienie padły surowe:
Słońce obca zakryła mu strzecha...

Pastuszkowie gwarną rzeszą,
Każdy z biczem w rękę -- śpieszą...
Pokrzykują, pohukują,
Gdy potrzeba, psem poszczują...

Burek bieży -- ciężka praca --
Goni krowy i nawraca...
Z wiatrem krzyk pastuchów mknie.
Nuże dalej!... hej -- a gdzie?...

* " *

Wonna, cicha polana,
Jasnym słońcem oblana;
Wkoło świerki wysmukłe i sosny;
U stóp mchy aksamitne,
W górze niebo błękitne,
Zapach lasu i rosy i wiosny...

Janek upadł na ziemię;
Chociaż milczy -- nie drzemie,
Czasem spojrzy z pod czoła na stado...
Pastuszkowie weseli
Ogień palić zaczęli --
On ma oczy pochmurne, twarz bladą...

Słońce grzeje go z nieba,
Ale jemu potrzeba
Jeszcze czyjejs serdecznej pieczyoty...
Każdy ptaszek na świecie
Własne gniazdko ma przecie:
Łzy zabłysły na rękach sieroty...

* * *

Nagle gorący jakiś dech
Owionął go po twarzy...
Czyżby to w słońcu chłodny wiatr
Rozgrzał się tak -- że parzy?...

Spogląda Jasiek: przy nim tuż
Pocziwy Burek leży;
Na łapach oparł wielki łeb,
W karesie zęby szczerzy.

A w oczach psa jak gdyby żal,
Jakby współczucie rzewne;
I poczuł Janek, że w tym psie
Ma serce bardzo pewne...

I ujął wielki jego łeb,
Przytulił doń swą głowę --
A słońce z góry złoto swe
Na włosy lało płowe...

Leon Rygier.

Nad rzeką wierzby stoją w rząd
W wiosennych szat zieleni --
I każdy pień, i każdy liść
Od słońca aż się mieni...

Błękitnoskrzydłych łątek rój
Nad wodą się zawiesza --
I jak chochlików śpiewny chór,
Gwar czyni płocha rzesza...

Słoneczny dzień, słoneczny dzień
Ze snu obudził pola...
Wszystko się cieszy -- tylko łzy
Sieroca kryje dola...

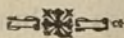
* * *

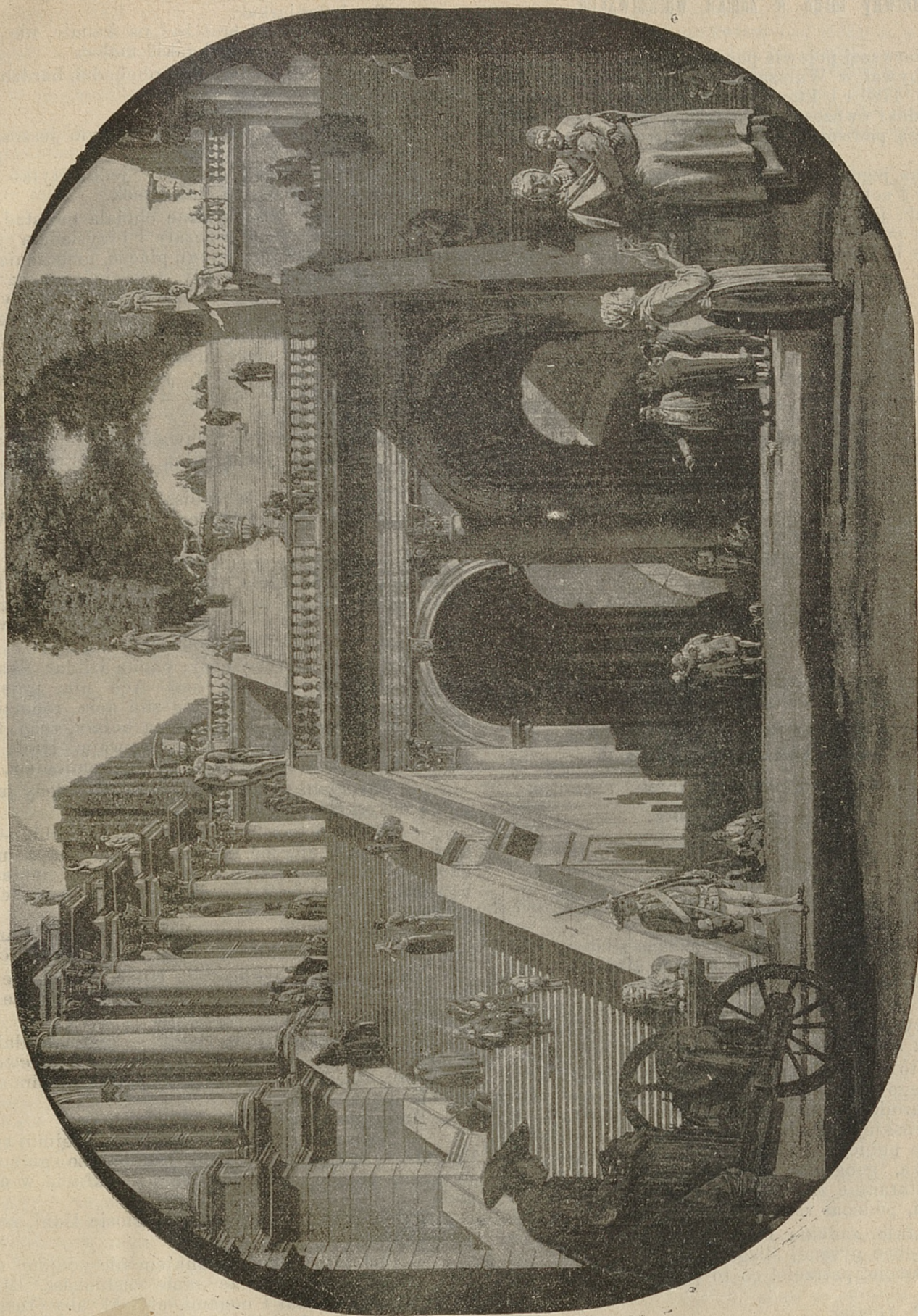
Lecz na smutek nie pora:
Trzeba śpieszyć do dwora,
Trzeba bydło wyganiać na paszę;
Skopki pełne już mleka,
Zapach płynie z daleka;
Janek westchnął: -- Gdzie krowki tenasze?

* * *

Hej, poranek jasny, świeży;
Ode dwora droga bieży --
Droga wązka, niedaleka,
Szybko w ciemny bór ucieka...

Drogą bydło kroczy żwawe
Na zieloną, hej, na trawę;
A za bydlęm stąpa tuż
Kusy Burek -- wierny stróż...





Taras b. zamku królewskiego w Warszawie

Z obrazu Bellotti Canaletto.

Dawny taras w zamku warszawskim.

W pierwszej połowie panowania Stanisława Augusta przebywał w Warszawie malarz Bellotto Canaletti, (zm. 1780 r.), który bardzo chętnie i udatnie malował widoki ówczesnej Warszawy, stąd jego malowidła mają podwójne znaczenie: artystyczne i historyczne.

Obraz jego, który dziś zamieszczamy, przedstawia taras i schody zamku warszawskiego od strony Wisły, tak, jak one wyglądały przed pożarem w 1767 roku. Po pożarze w r. 1767 to skrzydło w tej postaci już nie było odbudowane.

Przy sposobności skreślimy kilka słów o tym gmachu. Pierwotnie drewniany, istniejący od niepamiętnych czasów, był przebudowany i wspaniale urządzony w w. XVI-ym, zwłaszcza za Zygmunta III-go między 1599 — 1619 r. podług planu budowniczego Andrzeja Hegnera Abrahamowicza.

Po wojnach szwedzkich powoli bardzo wracał do dawnego stanu i dopiero między r. 1771 — 1786 został przerobiony i urządzony według planów Dominika Merliniego przy pomocy najslawniejszych artystów ówczesnych. Wtedy powstały najpiękniejsze sale: marmurowa, balowa i rycerska, ozdobione malowidłami Bacciarellego i Plerscha.

W 1821 r. zaprowadzono w nim znowu pewne zmiany i usunięto pobliskie zabudowania, tworząc plac zamkowy.

Mapes Dodge.

SREBRNE ŁYŻWY

POWIEŚĆ NAGRODZONA PRZEZ AKADEMIE FRANCUSKĄ

Przeł. A. Morzkowska.

(Dalszy ciąg).



W yjdź ztąd, Haniu — dodała spokojnie, zwracając się do córki.

Dziewczynkę powtórnie wyrzucano z izby. Wsunęła się w najciemniejszy kąt małego alkierza, w którym sypiał Janek, skuliła się zakryła oczy rączkami.

Ale i tu dochodził ją głos doktora, jego krótkie rozkazy wydawane asystentowi. Hania pochwyciła wiszący na ścianie kapturek i przed dom wybiegła.

Była to pora rekreacji. Po pierwszym uderzeniu szkolnego dzwonu już gwar wzbił się nad kanałem, już zaroilo się na nim. Wszystkie klasy w męskiej i żeńskiej szkole opustoszały, a uczennice i uczniowie pobiegli na ślizgawkę. Gramatyka, łacina, historia, geografia, matematyka — to wszystko pozostało starannie zamknięte w salach do nauki przeznaczonych, podczas rekreacji nikt o nich nie myślał.

Wszystkie zadania i zdobycze szkolnej wiedzy zniknęły wobec pysznej ślizgawki.

— Patrzcie! patrzcie! co to jest! — zawołało kilka głosów.

— Co? Gdzie?

— Tam, koło domu idyoty, coś czarnego siedzi na ziemi.

— Nic nie widzę.

— Owszem, widzę — to pies czarny.

— Pies? Ubrany w łachmany?

— Ależ to ta mała Hania — zauważył ktoś.

— Łachmaniarka!

— Ej! gdyby jej brat był na kanale, nie powiedziałbyś tego — zauważył jakiś malec.

— A cóż mnie jej brat obchodzi, bardzo go się też boję!

— Silniejszy od ciebie.

— Dziesięciu takim jak on dałbym jeszcze radę.

— Spróbuj.

W pośród wesołej gromady jedna tylko dusza pomyślała o Hani: Hilda van Gleck.

Biedna mała kilkakrotnie chciała powstać z ziemi, ale wnet siły ją opuszczały i przysiadła prawie zemdlona. Cztery dni trwogi, płaczu, umęczenia zgłębiły biedne dziecko. Kiedy tak siedziała na ziemi, dołatywały ją od czasu do czasu jęki, i wtedy serce w niej zamierało z przerażenia. Ale od pewnego czasu wszystko ucichło, najmniejszy szelest z chaty nie dochodził. W tej ciszy usnęła i majaczyły się jej fantastyczne obrazy: doktor, jego narzędzia, ojciec, przyszłe wyścigi na lodzie, wszystko to ułożyło się w dziwaczną mozaikę.

W chwili, w której zdawało się jej, że matce zwierza swe żale, jakaś silna ręka chwyciła ją za ramię.

— Haniu, co ty tu robisz? — wołał głos słodki i przestraszony. — nie można spać na mrozie. Wstań Haniu!

Dziewczyna z wolna podniosła głowę. Tak była rozespana, że nie zdała sobie sprawy ze słów Hildy. Zdawało się jej, że to dalszy ciąg sennych widziadeł.

— Haniu! Haniu! wstań, obudźże się! — wołała Hilda, potrząsając silnie biedaczką.

Otworzyła szeroko oczy; panna Hilda? Skąd się ona tu wzięła? Jeszcze sen? Ach nie; przed nią błyszczy lód kanału, za nią stoi dom rodzicielski. Wstała z ziemi; nogi strasznie ją bolały, ręce także. Rzekłbyś, ostre szpilki je przeszywają; Hilda każe jej chodzić, podtrzymując ją silnem ramieniem.

— Zasnąłam — szepnęła wreszcie, kiedy już zupełnie odsyskała przytomność.

— Wiem o tem — uśmiechnęła się Hilda. — Mogłaś zmarznąć, umrzeć tu na śniegu. Teraz musisz chodzić, to cię rozgrzeje. Oprzyj się na mnie; już będziesz mogła wkrótce wrócić do domu i usiąść przy ogniu.

— Ach! nie, nie, panienko! — zawołała Hania — tam jest doktor Bockman; kazał mi wyjść z pokoju.

Ta odpowiedź zakłopotowała Hildę, która nie wiedziała, co dzieje się w domu Brinkerów, ale nie dała poznać Hani swego zakłopotania.

— Nie zatrzymuj się Haniu — ciągnęła dalej — musisz chodzić. Jedną ręką objęła w pól dziewczynkę, drugą starała się odpiąć swój paltot, by nim okryć zziębłe dziewczętko.

Hania domyśliła się jej zamiaru.

— Panienko! droga panienko, nie zdejmuj swego okrycia — wyjąkała. — Mnie jest bardzo gorąco, to jest... nie gorąco... ale czuję palące ukłucia w całym ciele.

Tyle błagania dźwięczało w głosie Hani, że Hilda ustąpiła.

— Pod tym tylko warunkiem nie zdejmę okrycia — odpowiedziała — że mnie usłuchasz. Musisz teraz ruszać rękami i nogami, ot tak! aby rozgrzać członki jaknajprędzej, dobrze! bardzo dobrze! Już nie jesteś taka sina. Teraz dr. Bockman pozwoli ci już zapewne wrócić do domu. Czy twój ojciec gorzej się czuje?

Hania rozplakała się.

— Ach! panienko, dwóch doktorów ma teraz przy sobie; powyjmowali noże... Matka ich oczekiwała, od rana nic nie mówi, tak się boi. Czy panienska słyszy jęki? a może mnie tak w uszach szumi — zapytała przerażona. — Ojciec może już umarł? Och! gdybyż to on jęczał, byłabym pewna przynajmniej, że żyje.

Hilda słuch wyteżyła. Dom był bliźniutko, ale żaden głos stamtąd nie dochodził. Poddiegiła do okna.

— Stąd nic panienska nie zobaczy — mówiła Hania, łkając — matka pokryła szyby naoliwionym papierem; ale z drugiej strony papier pękł w jednym miejscu; panienska śmielsza ode mnie, może tam zajrzy...

Hilda dom obeszła; zauważyła, że dach w lichym jest stanie. Nagle nowa myśl ją zatrzymała.

— Czy mam prawo zaglądać w takiej chwili do cudzego domu?

Przywołała Hanię.

— Zajrzyj do pokoju; zobaczysz, czy ojciec twój śpi, co robi doktor.

Hania żywo przytknęła twarzyczkę do szyby, w miejscu, w którym odpadł kawałek papieru.

Ojciec jej leżał na łóżku; oczy miał zamknięte, głowę owianą bandażami. Matka, Janek, doktor i jego asystent, wszyscy wpatrywali się w śpiącego.

— O panienko! — zawołała Hania — teraz już mogę wejść do domu. Co to, panienska płacze?

Z tym wykrzyknikiem rzuciła się do ręki Hildy i ucałowała ją kilkakrotnie.

Hilda istotnie łzy miała w oczach, tak żal jej było całej rodziny Brinkerów.

— Może panienska wejdzie ze mną — prosiła Hania.

Hilda zawahała się, ale w końcu nie usłuchała prośby dziewczynki.

— Nie, teraz nie pora — odpowiedziała — niedługo tu wrócę.

Uściskała Hanię jak siostrę i odeszła, bo też i dzwon szkolny oznajmiał koniec pauzy.

— Do widzenia!

Hania długo pamiętała uśmiech i słodkie spojrzenie Hildy przy tych słowach: „do widzenia”.

Jak cień wsunęła się do chaty i stanęła obok matki, nie ośmielając się spojrzeć na kogokolwiek. Cisza, spokój panowały tu. Ręka matki była jak lód zimna, a na policzkach czerwieniały silne wypieki; wzrok pełen bólu i słodczy utkwiała w twarz męża.

XV.

Przebudzenie. — Nowy niepokój.

Nareszcie chory poruszył się trochę i wszyscy w chacie zadrżeli. Doktor nachylił się szybko nad pacjentem.

Jeszcze ruch drugi. Raff Brinker podniósł rękę i przyłożył ją do czoła. Potem otworzył oczy i zaczął mówić głosem cichym lecz pewnym, którego Hania nigdy dotąd nie słyszała.

— Wolno, koledzy, pomału. Podnieście trochę ten maszt — teraz ziemię obrzucać. Wody szybko idą w górę. Niema czasu do...

Pani Brinker rzuciła się ku wężłowi łóżka, pochwyciła rękę męża.

— Rafale, Rafale, mów do mnie, mów jeszcze.

— To ty, Maryniu? Co mi się stało. Zdaje mi się, że byłem raniony a potem spałem. Gdzie jest Janek.

— Tutaj jestem — zaczął chłopiec, ale doktor odsunął go na bok.

— Poznaję nas, pamięta! — wołała pani Brinker. Wielki Boże! poznaje nas nareszcie! Haniu, chodź do ojca.

Daremnie doktor odsuwał rodzinę, nakazywał milczenie; nikt go teraz nie słuchał.

Syn i żona stali nachyleni nad łóżkiem, a z oczów Hani duże łzy spadały jedna po drugiej.

— Czy dziecko śpi — zapytał Brinker.

— Dziecko! — powtórzyła pani Brinkerowa. — Haniu, ojciec o tobie mówi. Dziesięć lat nas niepoznał. O panie doktorze! uratowałeś nas wszystkich. Dzieci, dziękujciez panu doktorowi.

Doktor milczał, spojrzał tylko na oszałałą z radości kobietę i wskazał ręką na niebo. Jakże pięknie wyglądał w tej chwili szorstki, opryskliwy doktor Bockman. Cała rodzina wraz z asystentem z podziwem i miłością patrzyli na tę surową twarz, złągodniałą rozrzewnieniem.

Uklękli wszyscy obok łóżka. Pani Brinkerowa ujęła w dłonie rękę męża. Doktor spuścił głowę i stał przy łóżku milczący.

— Dla czego uklękliście i modlicie się. Czy to dzisiaj święto?

O tak! wielkie święto!

Żona skinęła głową twierdząco; nie mogła mówić.

— W takim razie trzeba przeczytać rozdział z Biblii — rzekł chory — to dziwne, że taki jestem osłabiony...

Hania pośpiesznie zdjęła z półki dużą księgę, a doktor podał ją asystentowi.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Samuel Smiles. W drugiej połowie kwietnia r. b. zmarł w Londynie w podeszłym wieku wszechświatowej sławy pisarz i myśliciel angielski Samuel Smiles (czytaj Smajls).

Chociaż był Anglikiem i pisał po angielsku, pisma jego miały ogólnoludzkie znaczenie i były też tłumaczone na wszystkie języki europejskie, a również na język turecki, japoński i kilka dyalektów induskich.

Największym rozgłosem cieszyły się dwa dzieła Smiles'a: jedno o „Charakterze”, a drugie p. t. „Pomoc własna”. W książkach tych nawoływał do oglądania się na własne siły, wskazywał rezultaty wytrwałej pracy, chwalił oszczędność, wielbił panowanie nad drobnymi namiętnościami, kazał przyglądać się żywotom wielkich mężów, dowodził, iż charakter stanowi najwyższą wartość człowieka.

A poglądy te wyrażane z taką siłą przekonania, mógł w każdej chwili poprzeć przykładami z własnego życia, które było pełne trudu, pracy i wytrwałego spełniania mozolnych obowiązków.

We wczesnej młodości oddany do szewca, cały dzień miał zajęty pracą warsztatową, a godziny wolne poświęcał na zbieranie różnych okazów mineralnych, roślinnych lub zoologicznych. Nie mając czasu w dzień, wybierał się na wycieczki nocami, śpiając nieraz zaledwie po półtorej godziny na dobę.

Dzięki takim usilnym zabiegom zbiory jego zwiększały się z dniem każdym, ale Smiles'a nie zadowolniały dostatecznie, gdyż nazw większości okazów swoich zbiorów nie znał, a czytać i pisać nie umiał.

Po zwyciężeniu wielu przeszkód a przedewszystkiem oporu swego majstra, zaczął uczęszczać do szkoły wieczornej, a gdy tylko posiadał sztukę pisania, cheiwy wiedzy począł do różnych profesorów i muzeów posyłać swoje zbiory z zapytaniami o nazwy.

Z początku nie otrzymywał wcale odpowiedzi; przepadały również posyłane okazy; z czasem jednak cierpliwością swą rozbroił obojętnych i w końcu otrzymywał nie tylko odpowiedzi na zapytania, ale także wskazówki, rady oraz książki, które pochłaniał z wielką nilnością.

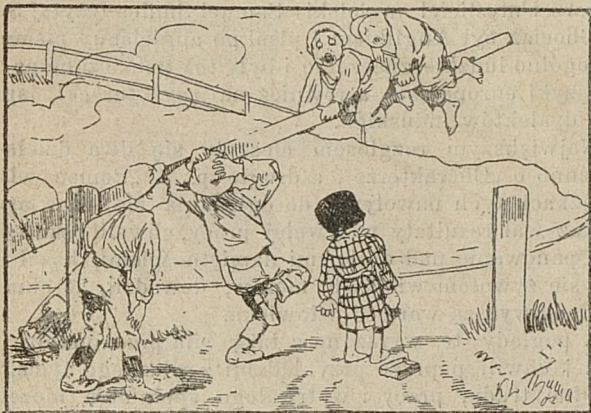
Po długiej pracy nad sobą otrzymał w jednym z muzeów szkockich stanowisko konserwatora zbiorów, że jednak czynność ta nie odpowiadała ruchliwemu usposobieniu Smiles'a, zabrał się więc do medycyny, otrzymał prawo praktyki lekarskiej, następnie przerzucił się do dziennikarstwa i, otrzymawszy wreszcie stanowisko sekretarza w zarządzie dwóch kolei angielskich, poświęcił się studjom naukowym.

Pierwszą pracą, którą Smiles zwrócił na siebie uwagę szerszego ogółu był życiorys Jerzego Stephensona, wynalazcy lokomotywy, wydany w czterdziestym piątym roku życia autora. Z tego widzimy, ile lat ciężkiej pracy przeżył, zanim na niego zwrócono uwagę.

Ale szczęście swoje widział nie w sławie ludzkiej, bo oto co pisał pod koniec swego życia do jednego z przyjaciół:

— „Życie moje, na ogół biorąc, było szczęśliwe. Pracowałem zawsze gorliwie i z wytrwałością i na tem, zdaje się, polega tajemnica szczęścia ludzkiego”.

HISTORIA BEZ SŁÓW.



Skutki wesołego witania pociągu.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

ul. Miri dla Łochozwaniki.

Stefcio otrzymał na imieniny pudełko z klockami; rozumie się, zaczął zaraz układać z nich rozmaite figury, otóż gdy pewnego razu spróbował ułożyć kwadrat, pozostało mu jeszcze 16 klocków, a gdy zapragnął powiększyć ów kwadrat o jeden jeszcze rząd klocków, to do pełnego kwadratu zabrakło mu 9 klocków. Ile też klocków mogło zawierać pudełko Stefcia?

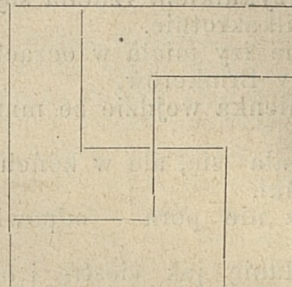
SZARADA.

z Maryampola.

*Pierwsze to spółgłoska, drugie z czwartem wiecie,
Że nie omijają człowieka na świecie.
Swoje trzecie z czwartem miewa naród wszelki,
Ma je też człek każdy mały jak i wielki.
Wszystko są to ludzie, co pracy swojemi
Szerzą tu królestwo Chrystusa na ziemi.*

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Łamigłówki geometrycznej:



Logogryfu: 1) Jan. 2) Anna. 3) Nabój. 4) Kraszewski. 5) Obłok. 6) Cyrus. 7) Hrubieszów. 8) Ariosto. 9) Nansen. 10) Odra. 11) Włoch. 12) Solec. 13) Koło. 14) Izaak.

Początkowe litery składają nazwisko poety polskiego z XVI wieku: Jan Kochanowski a końcowe Kochanowski Jan.

OGŁOSZENIA.

Biuro nauczycielskie **JAHOŁKOWSKIEJ.**

Warszawa. **Marszałkowska Nr. 118.**

Polona nauczycielki, bony, cudzoziemki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Zbliżka, przez Edmunda Jankowskiego. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąmpczyńskiego. — Przyjaciół, obrazek wiosenny przez Leona Rygiera (z ryc.) — Dawny taras b. zamku królewskiego w Warszawie (rzc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Ze świata. — Historia bez słów (rzc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Piłka, wiersz przez Milesa (z ryc.) — Moje opowiadanie, przez Zofię Bukowiecką. — Automat, przez B. B. — Trąba, wiersz przez M. W. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marię M. Kowską.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доволено Цензурою. Варшава 9 Мая 1904 г.

Wydawczyni

Łomętowskich Balińska.

W drukarni Niskowskiego, Warecka 51.

PIŁKA.

Hej! piłeczko, lećże w górę
Pod obłoki srebrnopióre,
Gdzie gorące świeci słońce,
Gdzie bują mgły pierzchnące
W błękitną dal!

Leć, piłeczko, hen, do świata,
Kędy szumny wichler lata, —
Z gór krawędzi, chmury pędzi,
Niby lekki puch łabędzi,
Niby śnieżny puch!

A gdy wrócisz w nasze strony,
Do tej ziemi, do rodzonej —
Piłko mała, w słońcu cała.
Powiedz, powiedz, coś widziała
Z tych wysokich stron?

„Oj! widziałam tyle świata,
Że aż trwoga mię oblata.
Ptaków wiele, ludzi wiele,
Czarny krzyżyk na kościele
I śpiżowy dzwon.

Oj! widziałam, het, za smugiem
Jako idzie oracz z pługiem,
W czoła pocie, w słońca złocie,
Dobrych ludzi przy robocie
Niby pszczelny rój!

I widziałam, dzieci moje,
Jak się pluszczą jasne zdroje —
Między chrósty — ugor pusty, —
Gdzie Jagusia pierze chusty,
Biały, moczy len.

I widziałam, jako zorza
Od sinego idzie morza,
Jak znów dalej, ogniem pali,
W modrej się przegląda fali
Od wioskowych strug.

Oj! widziałam cudów wiele;
Lecz znów do was wracam śmieło,
Słońko świeci, gwar podleci,
Miło wrócić między dzieci
W mały światek ten!

Miles.



Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

X.

Jakie porządki zaprowadził Bolesław Chrobry
w swoim dziedzictwie.

Powiedziałam w poprzednim rozdziale, że osadnikowi tylko król miał prawo odebrać ziemię, którą on zorał i zasiał.

Sami osadnicy wybierali sobie wodzów, aby było komu sądzić ich spory i prowadzić wojsko do bi-

twy w czasie wojny. Zaczęły też w państwie powstawać coraz nowe sprawy, rozwinął się handel, musiał ktoś czuwać nad bezpieczeństwem kupca, stawiano grodziska, trzeba było strzedz ich od napaści złego sąsiada. Benedyktyni budowali klasztory, urządzali przy nich szkoły, naprzykład w Trzemesznie, gdzie jeszcze Mieczysław ufundował pierwszą, należała się tym pożytecznym zakładom opieka. Rabusie bywają dziś, a zdarzali się zawsze, jeśliby więc naprzykład rabuś poganin napadł na kościół chrześcijański i zniszczył go przez ziość do nowej wiary, to któż w takim razie miał mu zabronić rozboju? Już też król, gospodarz państwa, sędzia i wódz najwyższy. Do niego udawano się ze skargą, on karał, on nagradzał,

on bronił, on nowe krajowi przysparzał bogactwa przez budowanie dróg, mostów, grodów, klasztorów.

Ciężko pracowali Piastowie - gospodarze! Król z konia nie zsiadał, uganiając się za Niemcem, kiedy ten przeszedł granicę, to znów pędził na północ nawracać zdziczałych Pomorczyków, to objeżdżał grody, żeby się przekonać, czy straż pilnuje wałów, to lud na sądy zwoływał, żeby czynić sprawiedliwość, to posłów wyprawiał do sąsiednich monarchów, żeby zgodę z nimi zawrzeć i powagę a dostojeństwo swoje podnieść.

Dobry gospodarz nie zna odpoczynku, jeśli chce w swojej wiosce, lub w swojej kolonii ład utrzymać, cóż tu dopiero powiedzieć o takim gospodarzu, którego zagon ciągnął się od gór do morza.

Za znój, za pot, za krew wylaną w obronie państwa należała się królom - gospodarzom miłość i posłuszeństwo poddanych. Poddanymi zwano wszystkich mieszkańców kraju, bo wszyscy mieszkańcy z własnej woli poddali się pod władzę Piastów. Nie była to już wprawdzie ta wolność co za pierwszych osadników, kiedy każdy w swej jaskini robił co chciał, wolność wilka lub niedźwiedzia, który nikogo nie słucha, ale też od nikogo opieki nie dozna w potrzebie. Lepszy, rozumniejszy nastał porządek. Osadnik wybierał sobie gospodarza monarchą, a potem już naturalnie monarchy tego słuchał i daninę mu płacił ze swych bogactw, bo wiedział, że wtedy tylko bogactw tych używać będzie spokojnie, jeśli rozciągnie nad nim opiekę wódz mocny, ojciec państwa, który nagradza za dobre, a karze za złe uczynki.

Król był głową narodu, głowa rządziła a ludność jak posłuszne członki wielkiego ciała, pracowały razem z głową, aby to ciało było silne i zdrowe, bo państwo podobne jest z budowy swej do budowy każdego człowieka. W każdym z was dzieje się toż samo, co w porządnie prowadzonym gospodarstwie. Na to, żeby głowa mogła myśleć, a oko nasze widzieć, trzeba aby żołądek, serce, nogi, ręce spełniały swój obowiązek. W ciele waszem odbywa się nieustanny ruch, nieustanna wymiana usług. Głowa myśli, żeby gryzą, gardło połyka jedzenie, żółć je trawi, ręce niosą do ust bułkę, a wszystkie te prace idą na pożytek zarówno gardła, jak głowy, zębów, rąk i nóg. Tak samo w państwie; gospodarstwo Piastów dlatego było silne, że każdy jego członek spełniał swoją powinność. Chrobry rządził, sądził, budował, wojował, a osadnicy orali, kupcy handlowali, zakonnicy uczyli, jedni pracowali dla drugich, wymieniano swoje usługi, i ciało narodu stawało się jędrne, krzepkie, rosło w moc, tężało.

Ostatnim gospodarzem z wyboru był Piast, którego kmiecie okrzyknęli wodzem po zniemczeniu księcia Popielu, a pokochali tak serdecznie, że i słyszeć nie chcieli później o innej głowie narodu. Kiedy umarł kruszwicki kołodziej, Polanie syna jego Ziemowita uważali już za urodzonego monarchę. Toż samo, jak wiecie, działo się z późniejszymi Piastowiczami, nikt nie pytał, kogo panem swoim uzna, każdy bowiem wiedział, że pan jego, to pisklę zrodzone

w Piastowym gnieździe, i cały też naród czuwał nad pisklęciem, jak rój pszczoł czuwa nad małym owadem, z którego wyrość ma jego królowa.

Chowali się więc Piastowicze od dziecka na gospodarzy i ojców wielkiej rodziny Polan, a chociaż w owych czasach daleko mniej było ludzi niż dziś na świecie, to jednak ojciec Piast miał dzieci więcej niż milion, a z milionem dzieci roboty jest nie mało.

— Milion dzieci! Jakże jeden król mógł tym milionem rządzić? — zapytacie. — A cóż robi gospodarz, żeby podołać pracy, jeśli wieś jego jest duża i wszystkiego sam dojrzyć nie może? Naznacza za siebie zastępców.

Całe państwo Bolesławowe było jak gdyby jedną wielką wsią, bo miasta zaczynały się dopiero budować, a ziemie jak wiecie pokrywały puszcze, w których coraz gęściej osiadali rolnicy. Chcąc utrzymać porządek na tej ogromnej niwie, podzielił ją Chrobry, to jest ponaznaczał miedzami części i części te państwa nazwał powiatami, a nad każdym powiatem postawił swego zastępcę czyli włodarza. Każdy powiat miał też osobny gród, że zaś grody takie zwano kasztelami, więc później i włodarzy zaczęto kasztelanami nazywać.

Włodarze czyli kasztelanowie pomagali królowi rządzić krajem, bronili grodu od nieprzyjaciela, gród stał zwykle na górze, a u jego stóp budowały się powoli miasta, tak przy Wawelu wyrósł Kraków, przy wysokim zamku Lwów.

Za czasów Bolesława Chrobrego nie znali jeszcze Polanie murowanych budowli, wznoszono więc zamki grodowe z drzewa, ale drzewo to porżnięte na ogromne kłody było trwałe, zamek otaczano wałem z ziemi, rowem, do którego wpuszczano wodę i ostrokołem, to jest parkanem z ostro zakończonych słupów, a przez taki słup nie łatwo było wdrzeć się nieprzyjacielowi. Zamek był jakby sercem grodziska, tu mieszkał kasztelan, tu w czasie wojny znosili osadnicy swoje bogactwa, żeby je ukryć przed nieprzyjacielem, tu pod opiekę włodarza chroniły się ich żony i dzieci. Na wałach i w bramach stała ciągle straż, która nie przepuszczała nikogo obcego i dawała znać o nieprzyjacielu, jeśli ten pokazał się w pobliżu. Największe znaczenie miały zamki graniczne, obsadzano je też liczniejszą strażą, pilnując dzień i noc, ażali Niemiec nie nadchodzi. Takie same stráže czuwały i przy przeprawach na rzekach.

Pilnowali wartownicy u przeprawy Wiślanej, pilnowała straż w warowniach od zachodu, ale zapytacie może kto żywił i ubierał tę straż, bo przecież wojak stojący z bronią na wałach grodziska, albo zczajony w szuwarach rzeki nie może uprawiać roli ani chować bydła. A na to odpowiem wam także pytaniem.

Czego broniła straż grodowa i graniczna, własnego tylko czy i wspólnego bogactwa?

(d. c. n.)

AUTOMAT.

Z prawdziwego zdarzenia.

Dzieci lubią te czerwone, jak raki, szafeczki, z której po wrzuceniu miedzianej dziesiątki wyskakuje pudełeczko czekoladek albo karmelków, jak w zaczarowanym pałacu wybiegając samo na spotkanie. I mój znajomy Witusz lubi automaty, lubi czekoladki — ale nie lubi podzielić się z kimkolwiek tem, co ma, więc braciszek i siostrzyczki nazywają go „chciwcem.” Witusz nic sobie z tego nie robi i zjada wszystko sam, nie częstując nikogo. Całomięsną pensję od mamy — 30 kop. — wydaje na to najsumienniejsze co do grosza.

Zeszłego roku w czerwcu wielka powódź zniszczyła mnóstwo wsi nad Wisłą i dobrzy ludzie zaczęli zbierać składki dla biedaków. Rodzeństwo Witusia postanowiło oddać swoje pensyjki czerwcowe na powodzian. A Witusz? jak wam się zdaje? O! on miał inne zamiary. Za 30 kopiejek dostanie sześć miedzianych monet — a za te monety będzie przez całe sześć dni zjadał codziennie pudełeczko czekoladek. Codzień!

I kiedy po złożeniu swoich pieniędzy w redakcyi „Wieczorów” poszło całe towarzystwo na spacer do Saskiego Ogrodu, Witusz wysunął się naprzód do automatu (tak mu było pilno!) i wrzucił z pośpiechem miedzianą monetę. Lecz o dziwo! czekoladki nie wyjechały.

— Musiałeś źle wrzucić — mówi bona, która już zdążyła nadejść, i przed którą Witusz się użalał.

— Wrzucę drugą, to pewnie dwa pudełka wyskoczą odrazu — odpowiada Witusz trochę zaniepokojony.

Rzuca pieniądza: brzęk! i... cisza. Czekolady niema.

Siostrzyczki i braciszek zaczynają się śmiać. Witusz gniewa się, tem więcej, że obce dzieci gromadzą się i czekają, co dalej będzie. Bierze trzecią monetę i wpuszcza w otwarte usta automatu, myśląc sobie:

— Będę miał na trzy dni czekolady...

Ale czekolady nie widać, między dziećmi śmiech większy. Witusz coraz niespokojniejszy. Połowa miesięcznej pensyi! Bona mu tłumaczy:

— Musiało się coś tam zepsuć. Nie rzucaj więcej pieniędzy.

— Ale ja muszę mieć moją czekoladę! — woła Witusz drżącym głosem.

— Chi! chi! chi! — słychać naokoło śmiechy.

Witusia rozdrażnia to coraz więcej. Brzęk! — pada czwarta moneta. Automat milczy i stoi nieruchomo. Witusz traci już głowę — wrzuca piątą monetę czekoladek niema! Bona bierze go za rękę i mówi:

— Chodź! mówiłam ci, żebyś nie marnował pieniędzy. Widzisz sam, że się coś zepsuło.

Ale Witusz nie słucha dobrej rady, rozzłoszczony wyrzuca rękę i wpuszcza szóstą monetę — ostatnią!

A widząc, że i to nie pomogło, zaciętrzewiony rzuca się na czerwony automat, bije w niego pięściami, płacząc ze złości i woła:

— Oddaj mi pieniądze! Oddaj!

Zmartwienie chciwca nie budzi w nikim współczucia. Wszyscy się śmieją — śmieje się nawet bona, odprowadzając go przemocą od nieszczęsnej maszyny.

Witusz powraca do domu spłakany, bez pieniędzy i bez czekoladek. Rodzeństwo jego zostało tak samo bez grosza, ale za to z zadowoleniem po spełnieniu dobrego uczynku.

* * *

Nazajutrz mama czyta dzieciom wiadomość podaną przez pisma, że „automat” w ogrodzie zepsuł się, ku wielkiemu zmartwieniu tych, którzy w nim utopili pieniądze. A więc i Witusia, lecz my go tym razem nie będziemy żalowali, prawda, że nie?

B. B.

Terenia.

Przeleciał gołąbek

Przez wysoki dąbek,

Zajrzał do Tereni

Jaki tam porządek.

Zastukał w okienko,

Dzień dobry panienko,

Co słysząc dobrego,

Wpuść gościa miłego.

Lecz nikt nie otwiera,

Więc tak od niechcenia

Zajrzał przez okienko:

Śpi jeszcze Terenia,

Ubranie bez ładu,

Tu owdzie rzucone,

Na stole kajeta

Książki nie złożone,

Igły rozsypane,

Nici poplątane,

Robótki zbrudzone,

Zmięte, wygniecione.

Wszędzie nieporządek

Wygląda i świeci,

Odleciał gołąbek

Od leniwej Teci.

M. W.

ŁAMIGŁÓWKA WYRAZOWA.

Od siostrzyczek z Zawadówki dla dzieci Sachniańskich.

- 1) Maniu, tak mi markotno bez ciebie! zawołała Kazia.
- 2) Stasio wcale na to się nie zgadza.
- 3) Jaśko marudzi z zabawą.
- 4) O, jaka wielka cukrowa głowa! dziwiła się Zosia.
- 5) Jadzia to wygodnicka osoba, rano nie lubi wstawać.
- 6) Powiedziałam Helusi: korab', to inaczej okręt.

W każdym z sześciu przytoczonych zdań należy wybrać po jednej nazwie zwierzęcia.

FIGIEL.

podał Jarząbek.

W jaką beczkę nie można wody nalać?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Zadania konikowego: Kto wiele szumi, niewiele umie.**Zagadek:** Barany; komary; szczupaki; rumaki.

„Lećcie, nieście jaskółeczki, wosna już,
Pozdrowienie od **Gwiazdeczki** z za lądów i mórz”.

pisze Gwiazdeczka. Miłe twoje pozdrowienie, ale nie mówię gdzie przebywasz, a mnie się zdaje, że na takim lądzie, z którego dużo ciekawych i drogich donieść nam możesz wiadomości, czekam ich niecierpliwie.

„Chciałabym zasypać Jaskółkę strzałami swych listów” grozi **Dzika Litwinka**, a ja się tych strzał wcale nie ulękę, wytrzymam szturm, na pociski chętnie odpowiem, bo widzę, że teraz łatwiej się zrozumiemy. W dawnych twoich listach znać było tęsknotę za zabawami, obecny jest radosnym hymnem na cześć wiosny, literatury i towarzyszek. Brawo Litwinko, kto kocha naturę a ceni naukę i przyjaźń, ten na moją sympatyę zawsze liczyć może.

Spełniam twoje życzenie, **Córo Mazurów**, ty i Dzika Litwinka od dziś zapisane zostałyście w poczet staruszek, staruszki zaś mają wyłączne prawo do moich uczuć, jeszcze chwil kilka, a stracę was z naszego grona na zawsze, więc chciałabym umocnić przestrożę. Zamiary i marzenia wasze schodzą się dotąd z moimi, lecz wy daleko, a, jak mówi Gabryela: „Ach! tam inaczej, może im szczęście kto wytłomaczy, może je złudzi inną nadzieją, to co im mówię czy rozumieją?...” Poetka cudnie troski swe wyraziła w wierszu „Do moich dziewczynek”, Jaskółka wierszy pisać nie umie, ale do „swoich staruszek” często myślą się zwraca, a **Córę Mazurów** wyłącznie pozdrawia, Skowronkowi zaś i Zosi winszuje imienin.

Dziękuję ci, **Jadwiśko**, za ciekawy opis rodzinnych twoich stron, znam je, zwłaszcza Solec i Busk, bawiłam się tam doskonale za dziecięcych lat, bo nie tylko sama używałam kąpeli, ale kąpałam moje lalki w słonych źródłach, chociaż ta kuracja nie zawsze wychodziła im na dobre. Twoje przypuszczenie co do mojej osoby bardzo mnie ubawiło, żałuję, że jest fałszywe, bo chętnie podszyłabym się pod piórka znanego poety, niestety moje nie mają nic wspólnego z wąsami ani poezją.

Masz słuszną, **Tęsknotę**, wiosna to czarodziejka, czemuż, chociaż tak potężna jest panią, nie może zejść do suterenu warszawskich, pierzchyby przed nią ciemność, wilgoć i stęchlizna, te smutne nianki miejskich dzieciaków. Jaskółka wie jednak, że są między jej piskletami takie, które nie boją się piwnicznych schodów. Oto **Czarna i Biała Wi-**

sełka odkradły suterenom biedne dziecko, uczyły je pilnie przez całą zimę, a teraz zdolny chłopiec będzie zdawał egzamin w gimnazjum i pojedzie na wakacje do swych opiekunów po zdrowie i siły na przyszłoroczną pracę. Pisziesz, że przesyłasz mi echo twoich uczuć, ja ci w zamian echo szlachetnego czynu przesyłam Tęsknotę i błogosławię całą duszą obu moim Wisielkom.

Całuję twoje łapki, **Dudusiu**, za fijołki z własnego ogródka. Zazdroszczę ptaszkom, które w nim mieszkają, one mogą śpiewać na radość waszą, a ja tylko z daleka świergocę dla Dudusia.

Miłe mi i twoje kwiatki, **Nawojko z nad Huczwy**, zbierałabym je chętnie z tobą, a może chętniej jeszcze truskawki, bo na wspomnienie owoców łykam ślinkę. Pytasz o Wajdelotkę, bardzo mi jest miłą korespondentką.

Nie znajdę poprawy w twoim piśmie, **Perłowa Muszelko**, że zaś dostałaś już trzykrotne ostrzeżenie, więc dzisiejsze hieroglify zostawiam bez odpowiedzi.

Zaspałeś pewnie w swej zimowej norze, **Niedźwiedziu** i nie widziałeś moich siostrzyczek, jaskółek, które od dawna budują już gniazda. Mają one tę wyższość nade mną, że pracę swoją spełniają dobrze, a pamiętam przestrożę Mickiewicza, który powiedział: „Po tem wyższego męża możesz poznać w tłumie, że on zawsze to tylko zwykły robić co umie”. Jaskółki - ptaszki umieją wychowywać swoje pisklęta, czy ja, Jaskółka - Wieczorów potrafię tak dobrze jak one spełnić moje zadanie? Wtem sęk. Rebus twój oddałam redakcyi.

Miłośniczka piękna nie odebrała odpowiedzi na swój list, gdyż przysłała go bez podpisu, nie wiedziałam, komu się odpowiedź należy. Dziś daję ją skapliwie na obie bardzo miłe korespondencje. Ja, Miłośniczko, nie zapominam nigdy o żadnej z was, tem mniej o tobie, kocham cię, bo masz szlachetne serce i niesiesz skuteczną pomoc biednym powodziannom. Jest w języku naszym wyraz, którego znaczenia nie znacie może, wy syte chleba, pisklęta moje. Wyraz ten to *przednówek*. Spóźnia się wiosna tego roku, święta Zofija kłósów z żyta nie wywija, a w tych kłosach nadzieja głodnych, którzy zjedli już zimowe zapasy. Co będzie, jeśli dobry ludzie nie pośpieszą z ratunkiem? Redakcyja prosi o dokładny adres Miłośniczki, a ja ją tulę skrzydełkami.

Dziękuję **Carissimie** i **Szarej Wisielce** za śliczną kartę, ale wolałabym bliższe o tej Wisielce szczegóły; przypłynęła do skrzynki jak dobra znajoma, a ja nie dotąd o niej nie wiem.

Czarnobrewie winszuję nagrody, a życzę zdania egzaminu. Smaczne u was rosną śliwki, nie zerwałam ich jednak, zwyciężyłam łakomstwo, bo... śliwki były malowane. Szkoda, prawda? Długo jeszcze czekać trzeba zanim dojrzeją.

Biedna **Morelko**, jakże mi cię żal! Egzamin w szóstej klasie to rzecz bardzo trudna, przytem obcą się czuć musisz w wielkim mieście. Szkoda, że nie mogę ci posłać konwalii, które zakwitły na moim oknie, zaniosłyby spracowanemu pisklęciu pozdrowienie przyjaźni i echa naszych lasów. Morelka poleciła mi przesłać uścisk dla Bączka, a chętnie spełniam życzenie dobrej siostrzyczki, która nawet wśród trosk egzaminowych nie zapomina o małym braciszku.

Proszę **Maryelnę** i **Karolka T.**, aby dotrzymali obietnicy, kto starannie pisze, ten pewnie nieraz jeszcze zasłuży na nagrodę.

Gdybyż wszystkie marzenia tak łatwo spełnić się dały jak twoje, **Krakowska sukmano!** Znajdziesz list w skrzynce, list tylko, gdyż sama nie odważyłabym się stanąć przed kocią mamą, której drapieżna rzesza zadusiłaby Jaskółkę. Komuż powierzysz opiekę nad kotkami, kiedy pójdziesz na pensję? Przewycięż wstręt do igły, żyć powinna umieć nawet kocia mama, gdyż kotki często drą sukienki swoich opiekunów, czy twoim zdarza się to także?

Jaskółka.